Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 241 (Rok XIV, Nr 4) 15 lutego 1954 Cena (Price) 1/6

BERLIN I LUANG PRABANG

KONFERENCJA berlińska przeciąga się i nie widać, by w jakiejkolwiek ważniejszej sprawie nastąpić miał kompromis między Ameryką i jej sojusznikami a Sowietami. Pozytywną stroną dotychczasowych rozmów jest, że przedstawiciele wszystkich trzech państw zachodnich występują solidarnie. Mołotow nie ma pola do takich manewrów jakie robił Stalin w Teheranie wygrywając Roosevelta przeciw Churchillowi. Co prawda Mołotow nie jest Stalinem, a jego partnerzy są tylko ministrami spraw zagranicznych i nie mają takiej swobody decyzji jak szefowie rządów w czasie wojny. Ograniczoność reprezentantów czasem wychodzi na dobre ich państwom.

W tym wypadku najwybitniejszy mąż stanu nie miałby szans wywalczenia czegoś poważniejszego od Sowietów. Sowiety nie mają powodu do ustępstw. Nie są zagrożone najazdem Zachodu, a mają powody do grania na zwłokę. Sowiety czekają na kryzys gospodarczy w Ameryce i na rozwój swojej ofensywy w Azji. Czy spełnią się ich nadzieje gospodarcze jest rzeczą wątpliwą: Kapitaliści nauczyli się planowania gospodarczego w ostatnim ćwierćwieczu. Natomiast Azja wygląda dla bolszewików obiecująco.

W Korei się nie udało, ale ostatecznie jedynym realnym minusem jest powstanie silnej armii południowo-koreańskiej. Natomiast na drugim krańcu kolosa chińskiego właśnie w czasie konferencji berlińskiej nastąpiły zasadnicze sukcesy komunistów indochińskich. Jeżeli Amerykanie nie wkroczą bezpośrednio, nie zdradzają zaś po temu ochoty, Indochiny mogą być stracone dla Francji, a przez to i dla całego bloku atlantyckiego. Indochiny to bezpośrednie zagrożenie zanarchizowanej Burmy i słabiutkiego Syjamu, pośrednie Indii i Malajów, to przerwanie łańcucha baz amerykańskich budowanego od Atlantyku po Pacyfik przez Grecję, Turcję, Persję, Pakistan, Indochiny ku Formozie i Filipinom, to zmiana sytuacji strategicznej w świecie na korzyść imperium sowieckiego.

Być może zresztą, że propagandowe przemówienia Mołotowa miały głównie na celu właśnie przeciąganie obrad do czasu zwycięstwa w Indochinach i że następnie w nowej sytuacji tym zwycięstwem wytworzonej wyjdzie on z jakimiś propozycjami.

Pomimo, że potencjalnie blok atlantycki jest znacznie silniejszy od sowieckiego, inicjatywa polityczna w skali światowej jest wciąż po stronie Sowietów, a Zachód broni swoich starych pozycji w Europie zachodniej przed partiami komunistycznymi, w Afryce przed nacjonalizmami, w Azji przed żółtymi armiami. Tzw. inicjatywa dyplomatyczna w postaci np. konferencji berlińskiej nie jest w gruncie rzeczy żadną inicjatywą, jest tylko propagandą wewnętrzną na społeczeństwa zachodnie, mającą zespolić je politycznie i umożliwić bardziej jednolity front ich rządów w stosunku do Sowietów. Największą bowiem korzyścią z tej konferencji będzie prawdopodobnie przekonanie społeczeństw wolnego świata o niemożliwości kompromisu z Kremlem w najbliższych latach.

TRZY ARMIE NIEMIECKIE

Nie wiadomo jeszcze czy powstanie armia europejska z udziałem większych jednostek wojskowych niemieckich. Uzbrojenie Niemiec zachodnich bezpośrednio przez Amerykanów jest także wciąż jeszcze tylko groźną możliwością. Ale już na cały świat idzie propaganda sowiecka o odbudowaniu militaryzmu niemieckiego przez Anglosasów.

Tymczasem siły zbrojne niemieckie istnieją, ale nie po tej stronie żelaznej kurtyny. Tzw. eufemistycznie Policja Ludowa wschodnich Niemiec liczy podobno nie 100 tysięcy ludzi, jak się dotąd przyjmowało, lecz 200 tysięcy. Tak miał zapewnić na zachodnio-niemieckiej radzie ministrów kanclerz Adenauer. Policja ta podzielona jest na 3 armie, których sztaby mieszczą się w Dreznie, Lipsku i Erfurcie. Ta siła zbrojna posiada własną broń pancerną, artylerię, lotnictwo i marynarkę.

REFORMA EISENHOWERA

Od 15 stycznia weszła w życie w Stanach Zjednoczonych reforma organizacyjna sił zbrojnych wprowadzona przez prezydenta Eisenhowera. Ten były naczelny dowódca europejskiego frontu wojennego przeprowadził obecnie pełne podporządkowanie dowództw wojskowych cywilnej władzy politycznej. Rada szefów sztabów armii, marynarki i lotnictwa podlega bezpośrednio ministrowi obrony narodowej p. Wilsonowi. Mało tego: każdy z trzech szefów sztabu podlega wi-

ceministrowi cywilnemu swojego działu, tj. sił lądowych, morskich lub powietrznych.

Na tym przykładzie widać wyraźnie, jak naiwne poglądy na stosunki amerykańskie mieli ci, którym się zdawało, że wybór generała na prezydenta Stanów Zjednoczonych oznacza jakiś wpływ wojska na politykę.

FRANCUZI O POLSCE

We Francji wyszła ostatnio półurzędowa obszerna książka o sytuacji ekonomicznej Polski w latach 1945-53 pt. „La Pologne".

Wydawcą jest instytut badań ekonomicznych przy francuskim ministerstwie skarbu, a oficjalnym kierownikiem pracy nad zebraniem materiałów był p. Claude Simon, Francuz wychowany w Warszawie, gdzie także skończył gimnazjum francuskie przed wojną. Wśród współpracowników wydawnictwa są również Polacy emigranci.

Książka stanowi udaną próbę bezstronnej analizy rozwoju Polski w warunkach panowania komunistycznego. Opiera się o urzędowo dostępne dokumenty, lecz nie traktuje ich bezkrytycznie tylko wskazuje na rzeczywistość, którą one pokrywają. Jej wielką zaletą jest to, że martwe liczby procentów w jakie obfitują sprawozdania reżimu, autorzy zmienili w wyraźne liczby mówiące o tysiącach ton, kilometrów, metrów czy kilowatów. W ten sposób obraz sytuacji ekonomicznej Polski stał się możliwy do porównania z sytuacją przedwojenną. Autorzy zresztą bardzo starannie rozdzielili rozwój ekonomiczny ziem starych i nowych w polskim organizmie państwowym, tak że od pierwszego spojrzenia można zorientować się w zmianach zachodzących nie tylko w całym kraju, ale i w tej jego części, która przed wojną była w granicach Polski. Polityczne tło nakreślono beznamiętnie, z wyraźnym dążeniem do przedstawienia właściwego obrazu rzeczy, bez polemiki mogącej zaciemnić obraz. Dane i cyfry mówią same za siebie. Brakiem jest nieobecność świadectw nieurzędowych, na których jednak półoficjalne wydawnictwo nie mogłoby się opierać.

Wydanie książki dowodzi, iż Francuzi są właściwie jedynym narodem europejskim, który i przyjaźnie i głęboko interesuje się Polską. Wprawdzie jeszcze jeden naród europejski interesuje się, może głębiej, ale za to nieprzyjaźnie. Są to Niemcy. Poza tym panuje na ogół cisza, przerywana najwyżej krótkimi wiadomościami w codziennej prasie lub w tygodnikach.

Smutne to, gdy zważyć, że polskich polityków i ekonomistów przebywa niemało w innych krajach naszej części świata. Brak jednak takiego zainteresowania, które by ich mogło zaprząc do pracy badawczej z ramienia gospodarzy.

Inaczej jest oczywiście w Stanach Zjednoczonych.

W INDOCHINACH PO POLSKU

Coraz mniej w dzisiejszym świecie jest spraw lokalnych.

Radio komunistyczne w Indochinach nadawać zaczęło audycje polskie. Są one przeznaczone dla Polaków żołnierzy francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Jest ich około ośmiu tysięcy. Radio Viet-Minh namawia Polaków do dezercji i obiecuje im poprawę losu ich rodzin w Polsce. Równocześnie konsulat warszawski w Paryżu stara się zestawić wykaz rodzin legionistów Polaków pochodzących z Francji i wysyła do tych rodzin odpowiednie listy.

DLA ŚCISŁOŚCI

Rokowania w sprawie zjednoczenia politycznego na emigracji znajdują się w stadium krytycznym. Jest nadzieja, że mogą wkrótce dać pozytywne wyniki. Toteż staramy się unikać wszelkich momentów jątrzących w stosunkach wewnętrznopolitycznych. Tym niemniej dla ścisłości sprostować musimy twierdzenie „Dziennika Polskiego" z dnia 6 lutego. Pisząc o swoistej ankiecie przeprowadzonej wśród swoich czytelników „Dziennik" mówi: „Plebiscyt ten — jak pamiętamy — wywołał gwałtowne sprzeciwy ugrupowań wchodzących w skład Rady Politycznej, a zwłaszcza Stronnictwa Narodowego. Ze strony tej podjęto wówczas, nie przebierając w środkach, próbę udaremnienia naszej akcji, której jedynym celem było wybadanie opinii najszerszych rzesz... Posługiwano się kłamstwem i terrorem... Cała ta kampania skończyła się sromotną klęską i kompromitacją jej organizatorów... Gen. Sosnkowski... nazwał plebiscyt nieocenioną pomocą dla akcji zjednoczeniowej".

Zacznijmy od końca. Gen. Sosnkowski w oświadczeniu złożonym „Dziennikowi" nazwał nieocenioną pomocą akcję społeczną polegającą na zebraniach i rezolucjach skupisk polskich w całym świecie. Już po tych rezolucjach „Dziennik" wyskoczył ze swoją ankietą nie dlatego, by były wątpliwości czy większość Polaków popiera wysiłki gen. Sosnkowskiego, ale dlatego, by przy pomocy drugiego pytania wywołać wrażenie, że stronnictwa chcą wprowadzić do zjednoczenia Mikołajczyka, czego nikt nie proponował. Gen. Sosnkowski nazwał tylko „plebiscyt" „Dziennika", „sprawnie przeprowadzoną ankietą".

Na czym miało polegać posługiwanie się kłamstwem przez przeciwników ankiety „Dziennik" nie usiłuje nawet wyjaśnić. Określenie mianem terroru niezadowolenia zarządów stowarzyszeń społecznych z tego, że ich prezesi zaangażowali się w jednostronną akcję polityczną, jest akurat tyleż warte, co nazwanie przez prez. Zaleskiego terrorem uchwał skupisk polskich wypowiadających się za akcją gen. Sosnkowskiego.

Akcja przeciwników ankiety nie skończyła się żadną sromotną klęską. Wręcz przeciwnie: znaczna większość Polaków w Wielkiej Brytanii w ankiecie tej udziału nie wzięła, nie dlatego, aby była przeciwna zjednoczeniu, lecz ze względu na kombinacyjnostronnicze sformułowanie drugiego pytania.

OSTRZEŻENIE

Grupa biskupów włoskich zwróciła się w liście pasterskim do całych Włoch z ostrzeżeniem przeciw ustępliwości wobec komunizmu. List ten mówi: „...Wiemy, że są wśród wiernych uważający marksistowski eksperyment za próbę, która w końcu może dać niezłe wyniki i wobec tego powinna być dokonana lub przyzwolona. Należy ich przestrzec — niech się namyślą nad Kościołem Milczą-

---

Ś. † P.

Dr Stanisław Zieliński

Adwokat, działacz polski na Ukrainie, konsul generalny w Berlinie, komisarz wyborczy Stronnictwa Narodowego w r. 1930, poseł na sejm, członek Zarządu Głównego SN, dwukrotny więzień sowiecki

Zmarł po długich cierpieniach w Warszawie 19 stycznia br. w wieku lat 79. Pochowany 23 stycznia na Powązkach

PRZYJACIELE

cym w krajach prześladowania. Wtedy zrozumieją, że może się tam mówić wiele pięknych słów, fakty jednak pokazują tylko stalową dyscyplinę tyranii i wszelkiego możliwego zła".

Słowa te mogłyby być skierowane nie tylko do Włochów, wśród wielu innych narodów są ludzie warci ich powtórzenia. Ludzie tacy są przede wszystkim w naszym kraju.

Grupa, która przyjęła pięknie brzmiącą nazwę „postępowych katolików" w Polsce, codziennie namawia wiernych do współdziałania z komunistycznym reżimem. Jej przedstawiciele odbywali rok temu podróż po polskich ośrodkach zagranicznych i m.i. w Paryżu tłumaczyli, że współpraca z komunistami jest słuszna i możliwa. Ostatnio wysyłają imiennie do bardziej znanych katolików angielskich i francuskich wydanie francuskie swego tygodnika. Na łamach posiadanego w kraju dziennika chcą oni dziś przeprowadzić tezę, że katolicy mogą stać się półkomunistami pozostając dalej katolikami. Piszą wiele artykułów, z których wynika, że katolik może przyjąć nie tylko nowy ustrój, ale także filozofię komunizmu, popierać politykę komunizmu oraz szerzyć komunistyczną doktrynę gospodarczą i społeczną.

Nie można dziś określić ile wśród „postępowych katolików" jest chytrości, a ile oportunizmu. Nie ma przyrządów wykrywających zasięg każdego z tych czynników. Można jednak i trzeba systematycznie odkrywać prawdę o nierealności i zgubności ich stanowiska. To bowiem co mówią jest zbiorem nonsensów, a najbardziej z nich się śmieją ich bolszewiccy protektorzy, którzy na religię, w szczególności na katolicyzm mają swój własny pogląd. Jest to zresztą ten sam pogląd, któremu hołdowali przed laty, tylko jego obecne wzielanie w życie różni się od dawnych brutalnie odrażających form. Mimo, że bolszewicy dalej uznają religię za „przesąd", nie mają skrupułów używać organizacji religijnej dla swoich politycznych celów, natrząsając się przy tym z naiwnych łapiących tę wędkę. Dotyczy to oczywiście i postępowych katolików.

POKAZ DLA NAIWNYCH

Poza granicami bloku sowieckiego komunizm chętnie tłumaczy, iż pod panowaniem Sowietów panuje wolność religijna. W stalinowskiej konstytucji jest na ten temat odpowiedni przepis, a prasa sowiecka wykorzystuje każdą okazję by podkreślić, że jest on wykonywany. Trzeba dodać, że chodzi o tę część prasy, która ma lub może dotrzeć zagranicę. I tak w okresie różnych świąt religijnych oficjalna agencja sowiecka TASS potrafi pisać o katolickiej procesji Bożego Ciała we Lwowie, o uroczystościach protestanckich na Łotwie. Kilku znanych biskupów Kościoła prawosławnego ukazuje się publiczności z okazji różnych kongresów pokoju lub pozwala im wyjechać do Bułgarii czy na Bliski Wschód, gdzie ich działalność wśród prawosławnych przynosi wyraźne korzyści państwu sowieckiemu. Ponieważ polityka sowiecka bardzo sobie ceni możliwości penetracji wśród prawosławnych w krajach arabskich, przeto reklamuje się tam również sytuację prawosławnych w samych Sowietach, gdzie im rzekomo jest bardzo dobrze.

Niedawno TASS opisywał jak wygląda nauka w seminarium duchownym w Troicko-Siergiejewskiej Ławrze pod Moskwą. Inspektor tego seminarium N. Doktusow oczywiście wychwalał władzę sowiecką za dostarczenie środków na utrzymanie akademii, ubranie i wyżywienie studentów. Wspomniał, że podobne akademie istnieją jeszcze w czterech innych miastach: Leningradzie, Kijowie, Odessie i Saratowie.

Wszystko to wygląda ładnie na papierze. Są już bowiem zagranicą uciekinierzy z Sowietów, którzy i tę stronę życia sowieckiego poznali w rzeczywistości.

Dowiadujemy się więc, że w Sowietach istnieją dwie Cerkwie: jedna nieliczna urzędowa pod kierownictwem patriarchy Aleksego i druga obejmująca miliony ludzi, zwana Cerkwią w Katakumbach i nieuznająca władzy sowieckiej. Ta druga jest prześladowana, gdyż jej reprezentanci krążą po kraju pracując jako robotnicy fabryczni czy kołchoźni w różnych miejscowościach, przenosząc się z miasteczka do miasteczka i szerząc słowo Boże wolne od wpływów reżimu. Gdy zbadać dokładnie przed czym tak się bronią, skoro rzekomo mogliby korzystać z pensji i stanowiska, to stanie się jasne, że i w dziedzinie religii państwowej Sowiety popełniają olbrzymie oszustwo. Inaczej nie można by zrozumieć, dlaczego wędrowni popi Cerkwi w Katakumbach narażają się na lata w podbiegunowych obozach pracy niewolniczej.

Wszystko wyjaśnia program urzędowej akademii duchownej. Jej studenci uczą się bowiem nie tylko dogmatyki, apologetyki, historii Cerkwi, liturgiki i innych normalnych w ich powołaniu przedmiotów. Zdają oni także egzaminy z podstaw marksizmu-leninizmu, historii partii komunistycznej i teorii dialektycznego materializmu. Jako już wyświęceni kapłani muszą okazywać lojalność wobec władz, a podlegają ministerstwu spraw wewnętrznych. Ostatnia nazwa tłumaczy dlaczego przeciętny obywatel sowiecki uważa ich po prostu za urzędników NKWD. Jest zrozumiałe, że żaden uczciwy chrześcijanin, mieszkaniec Sowietów nie chce mieć z nimi zbyt wiele do czynienia. Jest również jasne dlaczego Cerkiew w Katakumbach woli wyświęcać tajnie ludzi mniej obeznanych z formalną stroną nauki kościelnej, lecz gotowych poświęcić się za wiarę.

RZECZYWISTOŚĆ 1953

W okresie drugiej wojny światowej wydawało się wielu, że bolszewizm złożył broń wobec religii i złagodził prześladowania. Po śmierci zaś Stalina tyle stworzono wiadomości o swobodzie uroczystości religijnych, iż mogło powstać przekonanie, jakoby Malenkow jest jeszcze bardziej tolerancyjny.

Tymczasem opinie na temat chrześcijaństwa, w szczególności na temat pogodzenia wiary chrześcijańskiej z komunizmem były w r. 1953 takie same jak w r. 1924. Oto wyjątki z oficjalnego pisma Komsomołu „Młody Komunista" nr 8, 1953 r., mówiące wprawdzie o niektórych sektach chrześcijańskich, ale zawierające ogólne poglądy na chrześcijaństwo jako na religię:

„W miarę wzmacniania się socjalistycznego porządku w państwie sowieckim oraz krzepnięcia moralno-politycznej jedności naszego ludu, sekty straciły grunt pod nogami i osłabły ich wpływy. Naśladując więc inne organizacje religijne uznały za słuszne przybrać kolor ochronny i dostosować się do nowych stosunków.

„Istotą tych dążeń przystosowania się jest, że pragną one w poczuciu własnej słabości i niemocy „pogodzić" chrześcijaństwo z komunizmem. Usiłują wykazać, że komunizm wynika z chrześcijaństwa oraz że partia komunistyczna i państwo sowieckie w istocie pragną urzeczywistnić chrześcijańskie ideały. Do tego celu np. ewangeliccy babtyści mówią w swych pismach o mitycznym Chrystusie jako o duchowym ojcu i poprzedniku partii komunistycznej. Chcąc zaś wzmocnić swą tezę o „pokrewieństwie" pomiędzy chrześcijaństwem i komunizmem, podkreślają w kazaniach, że Chrystus jako syn skromnego cieśli i matki zwykłej robotnicy, właściwie należał do środowiska proletariackiego. Oczywiście kryje się w tym oszustwo, gdyż nauka od dawna udowodniła, że Chrystus nigdy nie istniał".

Chociaż cytowany artykuł dotyczy sekt protestanckich, ciągle jeszcze istniejących w niektórych okolicach Rosji Sowieckiej, jego brzmienie

wskazuje wyraźnie jak bolszewicy patrzą na próby współpracy ze strony tzw. działaczy religijnych. Mogą przyjmować tę „współpracę", a nawet do niej zachęcać gdy im to potrzebne. Co zaś naprawdę myślą o „kolaborantach" wyjaśnia inny cytat z tego samego artykułu w „Młodym Komuniście":

„Próba pogodzenia ideologii komunistycznej z chrześcijańską jest wyraźnym oszustwem w stosunku do wierzących chrześcijan. Komunizmu nie można połączyć z chrześcijaństwem, tak jak nie można mieszać ognia z wodą. Naukowy komunizm jest wcieleniem wszystkiego co postępowe w nauce, w bogatych doświadczeniach ludzkości, w wiedzy gromadzonej przez tysiące lat. Postawą chrześcijaństwa są przesądy, bajki i bajdy Biblii i Ewangelii".

Wszyscy amatorzy ideologicznego stawania na głowie w krajach okupowanych i w świecie wolnym powinni zapoznać się z tymi cytatami świeżo powtarzanymi w Sowietach. Powinni również wiedzieć, że powtarzają się często. Są przy tym bardziej wyraźne im mniej chrześcijan w danej prowincji sowieckiej, tam bowiem gdzie są chrześcijanie giętka polityka bolszewików nie chce ich przed czasem zrażać. Oto np. wyjątek z artykułu w pismie „Komunista Tadżykistanu" z dnia 17 grudnia 1953 r.: „Religia, święta religijne i zwyczaje religijne — istniejące jeszcze jako przeżytki kapitalizmu — uwłaczają godności obywatela sowieckiego, usiłują obudzić w nim bezwolność i pasywność, odciągają robotnika od aktywnego udziału w budowie społeczeństwa komunistycznego i przeszkadzają rozwojowi jego twórczej inicjatywy".

Tak więc ofensywa przeciw chrześcijaństwu trwa.

WITOLD OLSZEWSKI

CZARA GORYCZY KOŚCIOŁA W POLSCE

SPRAWA Kościoła w Polsce jest twardym orzechem do zgryzienia nie tylko dla komunistów. W innym sensie jest to również twardy orzech dla nas, z bezpiecznej odległości obserwujących systematyczne osaczanie episkopatu przez wyćwiczonych w Moskwie specjalistów oraz skomplikowany system obrony tegoż episkopatu.

Właśnie o ten system obrony chodzi. Od tzw. porozumienia episkopatu z rządem do listu ks. ks. biskupów z 8 maja 1953 r., w którym rzucili oni komunistom słynne „non possumus", prowadzi długa i zawiła, ale logiczna droga. Porozumienie było dla obu stron instrumentem gry na zwłokę. Kościół, biorąc po ludzku, ma do wygrania tylko czas. Komuniści natomiast zupełnie widocznie uważają czas za swego sprzymierzeńca. Tak zwykle bywa w sytuacjach, kiedy środki przymusu i siła fizyczna mają rozwiązać zakorzeniony głęboko w społeczeństwie problem.

Komuniści nauczyli się niejednego z historii. Wiedzą, że wszelkie próby mechanicznego zniszczenia religii czy narodowości kończą się klęską prześladowców, o ile wiara i kultura narodowa są rozwinięte i pogłębione. Mistrzowie terroru, rozumieją, że zbyt brutalny i przedwczesny cios powoduje zepchnięcie sedna sprawy, że się tak wyrażę, w głębię społeczeństwa, poza zasięg operacyjnego noża władzy. Zdają sobie również sprawę, że wówczas terror zaczyna niekiedy działać odwrotnie, to znaczy rozgrzewać uczucia, jakie mają być wycięte i zniszczone. Toteż w tak delikatnej z ich punktu widzenia sprawie jak w sprawie religii, podobnie zresztą jak w sprawie poczucia narodowego, wolą nie liczyć się z czasem, byleby problem jak najbardziej wyłuskać z duchowej otoczki, wyciągnąć na powierzchnię i ustawić na płaszczyźnie zwykłych konfliktów polityczno-organizacyjnych, z którymi dają sobie nieźle radę przy pomocy policji, kłamliwej propagandy, podstępów i prowokacji.

Innymi słowy: ani Kościołowi, który w zasięgu pogańskiego aparatu ucisku usiłuje jak najdłużej utrzymać zdobyte w ciągu dwóch tysięcy lat przyrodzone instrumenty działania pomagające mu w spełnieniu nadprzyrodzonej misji (takie jak jawność kultu, możność nauczania młodzieży itd.), ani też pogańskiemu państwu nie zależy na przyspieszeniu ostatecznej rozprawy.

Stwierdzenie to odnosi się oczywiście tylko do Polski, która bodaj słusznie uchodzi za jeden z najgłębiej przywiązanych do Kościoła krajów, a poza tym dzięki swej tradycji jest chyba narodem najlepiej uzbrojonym i doświadczonym w walce podziemnej z zewnętrzną przemocą.

Dzięki tym właściwościom naszego narodu walka z Kościołem w Polsce jest dla komunistów eksperymentem nowym, aczkolwiek starannie przygotowanym na podstawie wcześniejszych doświadczeń, choćby w samej Rosji i w innych krajach podbitych.

Tak więc w dziesiątym roku panowania agentów Kremla nad Polską wciąż jeszcze zmaganie się Kościoła z komunistyczną organizacją państwową dalekie jest od fazy, w jaką od dość dawna weszło już prześladowanie religii w innych krajach środkowowschodniej Europy.

Tych kilka luźnych uwag wydało mi się konieczne dla rzucenia niejakiego światła na wspomniany we wstępie okres stosunków (darujmy sobie to błahe określenie) między Kościołem a reżimem, który zaczął się porozumieniem z 1950 r. i zakończył listem episkopatu z 8 maja 1953 r. Jak wiadomo, list był reakcją na wydany w lutym 1953 r. dekret administracji Bieruta oddający dyspozycję urzędami kościelnymi w ręce komunistycznego aparatu rządowego. Właśnie ten krok reżimu zmusił episkopat do wystąpienia, wbrew sprzymierzeńcowi czasowi, z energicznym „non possumus".

Jasna rzecz dlaczego. Kościół może robić ustępstwa w dziedzinie swoich uprawnień politycznych, materialnych, ale zwłaszcza w odniesieniu do państwa opanowanego przez wojujący ateizm nie może się zgodzić na otwarcie bram do jego organizacji wewnętrznej. Byłaby to droga do unicestwienia wewnętrznej samorządności Kościoła i zamiany organizmu o misji nadprzyrodzonej w doczesną formację polityczną, do której wtargnęliby dywersanci. Dlatego też biskupi oświadczyli z prostotą odwagi, że raczej urzędy kościelne będą nieobsadzane i wierni zostaną pozbawieni opieki duszpasterskiej, niżby miała się dostać ona w niepowołane ręce.

Skutki nie dały na siebie czekać. Trzymany zapewne jako jeden z zakładników w więzieniu ks. biskup Kaczmarek został poddany haniebnemu procesowi, a gdy ks. kardynał Wyszyński potępił oprawców Biskupa, sam został brutalnie wyrwany ze swej archidiecezji i osadzony w nieznanym do tej pory miejscu kaźni. Komuniści dobrze wiedzieli, że akt ten wywoła wstrząs w społeczeństwie polskim i falę reakcji w wolnym świecie. W systematycznie prowadzonej walce z Kościołem nie mogą oni sobie pozwolić

na stworzenie choćby pozorów, iż cofnęli się przed oporem biskupów. Taka demonstracja słabości zniweczyłaby na długo ich dotychczasowe cierpliwe i perfidne zabiegi. Cały ich spryt wysilił się w momencie kryzysu, by nie przyspieszając ostatecznej rozgrywki, do której nie są jeszcze gotowi, a do której zmuszał ich właściwie bohaterski czyn Prymasa, uderzyć w Kościół dostatecznie mocno, aby spowodować choćby pozorne cofnięcie się episkopatu z pozycji zdecydowanego oporu.

Krótko mówiąc, chodziło im o wykazanie Polakom, którzy z zapartym oddechem śledzą tragiczny pojedynek, iż pełne mocy „non possumus" było tylko teatralnym gestem.

Do tego dochodzi jeszcze konieczność zniwelowania wzburzenia powstałego w świecie po aresztowaniu Prymasa. Zmusić episkopat do teatralnego aktu uległości w czasie gdy Prymas znajduje się w więzieniu, oznacza sprowadzenie do ziemi prądu oburzenia w cywilizowanych społeczeństwach. Przecież najbliżsi współpracownicy Kardynała nie paktowaliby z jego katami, pomyśli sobie każdy sceptyk zachodnio-europejski, a wszyscy tchórze całego świata otrzymają balsam na swędzące sumienia.

Trzeba było kilku miesięcy zabiegów, by komuniści osiągnęli swój cel. Nieomal w rocznicę owego prowokacyjnego dekretu, odrzuconego przez biskupów z taką odwagą i stanowczością, odbył się w Warszawie akt zaprzysiężenia członków episkopatu.

Żeby dopełnić goryczy wydarzenia przypomnijmy, że wszyscy sprawcy aresztowania kardynała prymasa Wyszyńskiego, a do nich na pewno należał (przynajmniej dekoracyjnie) Cyrankiewicz, zostali obłożeni z mocy samego prawa specjalną ekskomuniką zastrzeżoną Stolicy Apostolskiej. I oto tenże Cyrankiewicz odbierał od zgromadzonych biskupów przysięgę lojalności, a zastępujący uwięzionego brutalnie Prymasa ks. biskup Klepacz wygłosił do reprezentanta oprawców gładkie i okrągłe przemówienie.

Strzeżmy się jednak przed upustem zranionych uczuć. Przede wszystkim nasze uczucia zostały zranione na odległość i to dostatecznie daleką, by ranę odczuć raczej symbolicznie. A dalej nie zapominajmy, że w tej walce istnieje zasadnicza nierówność. Kościół liczy sobie lat prawie dwa tysiące, komunizm zaledwie lat kilkadziesiąt. O ile więc dla komunizmu sprawa autorytetu terroru ma znaczenie zasadnicze, o tyle Kościół, którego Boski Założyciel ze znaku hańby i poniżenia uczynił Znak Zbawienia, w tradycji a jeszcze bardziej w istocie swej nauki ma wkorzenioną niewrażliwość na wszelkie formy upokorzenia. Dlatego też odsuńmy na bok kryteria sentymentalne i spróbujmy zrozumieć okoliczności oraz sens bolesnego widowiska rozegranego ku triumfowi komunistów w Warszawie.

Jak wiadomo, Stolica Apostolska w nieoficjalnej wypowiedzi „Osservatore Romano" odrzuciła warszawską przysięgę jako nieważną, bo złożoną pod przymusem. Na podstawie tego oświadczenia mógłby ktoś wyrobić sobie pogląd, że biskupi polscy nie potrafili wytrwać w oporze.

Chciałbym zwrócić uwagę na zasadniczą okoliczność, która w tej sprawie została przemilczana. Biskupi, o ile wiadomo z dokumentów, *nie cofnęli się z zajętego w maju zeszłego roku stanowiska.* Złożenie przysięgi na wierność ateistycznemu państwu to jedna sprawa, zgoda na obsadzanie stanowisk kościelnych przez reżim to druga sprawa. Tylko w tej drugiej biskupi w swym liście powiedzieli „non possumus". Nic, ale to absolutnie nic nie wskazuje na to, by episkopat przyjął do wiadomości i zastosowania w całości dekret będący zamachem na organizację wewnętrzną Kościoła. Złożenie przysięgi, moim zdaniem, ma jeno zasłonić w oczach społeczeństwa ten akt determinacji.

Na czym opiera się powyższe twierdzenie? Nie tylko na braku jakichkolwiek aluzji czy w przemówieniu ks. biskupa Klepacza, czy też Cyrankiewicza. Również na analizie położenia.

Cóż mogło skłonić episkopat do poddania się tak upokarzającej demonstracji zaledwie w osiem miesięcy po podpisaniu wspaniałego aktu mądrości i męstwa, jakim był list do Bieruta z 8 maja? Proces ks. biskupa Kaczmarka? Aresztowanie ks. prymasa Wyszyńskiego? Późniejsze nowe groźby? Nikt chyba nie uwierzy na serio w to, by podpisując ów list członkowie episkopatu nie mieli pełnej świadomości konsekwencji, jakie ich spotkać mogą. Książęta Kościoła wychowani w dwutysiącletniej tradycji nadprzyrodzonej społeczności mają psychikę inaczej ukształtowaną niż na przykład krewcy przywódcy jakiegoś patriotycznego ośrodka powstańczego. Inna jest skala ich odpowiedzialności, inna miara doświadczeń i inna formacja psychiczna. Podpisując majowy manifest wierności swemu powołaniu nie działali na pewno w typowym dla Polaków uniesieniu dumy i honoru. Dlatego też niesposób przyjąć wyłącznie tłumaczenie „nieodpartego przymusu psychicznego".

Musiało się stać jeszcze coś nowego. Coś, co dając komunistom do ręki olbrzymi atut propagandowo-prestiżowy w postaci przysięgi, musiało także stwarzać jakąś pozytywną wartość na rzecz episkopatu. Jedynym kluczem do tej tajemnicy jest w istniejącym stanie rzeczy jakieś nieznane co do formy „zabezpieczenie", że w najbliższej przyszłości nie będzie puszczony w ruch mechanizm lutowego dekretu mającego z rąk hierarchii duchownej wydrzeć dyspozycję urzędami kościelnymi w Polsce*).

Rzecz jasna, że na zapewnienia czy gwarancje komunistyczne żaden z biskupów na serio nie liczy. Ale choćby taktyczna zwłoka ma lub może mieć olbrzymie znaczenie. Dochodzimy więc do miejsca, w którym zacząłem rozumowanie na początku artykułu: walka o czas, obopólne odroczenie.

Nie zapominajmy przy tym, że na episkopacie spoczywa odpowiedzialność dwojakiej natury: religijna i narodowa. Od tysiąca lat w Polsce leżącej na historycznym wydmuchowie wszystkie instytucje życia zbiorowego narażone są na katastrofy. Rozpadają się, podnoszą się na nowo, giną, powstają inne, nowe. Nie ma ciągłości tradycji, nie ma stałości urządzeń narodowych. W każdym prowincjonalnym miasteczku angielskim lub nawet francuskim więcej jest dowodów ciągłości instytucji narodowych niż w całej Polsce, przez którą od stuleci przewalają się wszystkie huragany historii.

W tych warunkach jeden Kościół Katolicki jest w naszej ojczyźnie od tysiąca lat *jawną* instytucją ogólnonarodową. To on uratował jedność narodu w okresie podziałów po Bolesławie Krzywoustym. On nas uchronił przed rozproszkowaniem w okresie reformacji. On utrzymał rozwój kultury narodowej i utrzymał Polskę jako naród w okresie rozbiorów. On wreszcie stał się filarem narodowej egzystencji w czasie i po drugiej wojnie światowej. Jeśli udało mu się spełnić te zbawcze dla Polski zadania, to tylko

*) Już po przysiędze biskupów nastąpił ingres ks. bpa Pawłowskiego, którego przez parę lat komuniści nie dopuszczali do objęcia stolicy włocławskiej. Jest to pierwszy ingres ordynariusza w ostatnich latach (Przyp. red.).

dlatego, że przez tysiąc lat działa jako organizacja jawna i ogólnonarodowa. W jednej choćby diecezji polskiej, np. gnieźnieńskiej, włocławskiej czy płockiej więcej jest odporności na burze czasu niż w instytucji sejmu Rzeczypospolitej czy urzędu kanclerza lub hetmana. Nawet władza królewska w Polsce okazała się potencją bardziej kruchą niż godność biskupa, powiedzmy poznańskiego.

Trwałość jawnych urządzeń Kościoła, rozumując po ludzku, z narodowego punktu widzenia, jest wartością dla Polski o tak olbrzymim znaczeniu, że warto okupić ją największymi ofiarami. A w naszych warunkach za tę wartość płaci się sowicie. Biskupi polscy nieraz już w dziejach wychylali czarę goryczy, jakiej nie potrafi wychylić żołnierz czy mąż stanu, który woli po bohatersku spłonąć w patetycznym szaleństwie wraz z najlepszymi ze swego pokolenia.

M. DUBANOWICZOWA

WSPOMNIENIA ZE ZJAZDU W PIENIAKACH

ROMAN Dmowski w książce swej „Polityka polska i odbudowanie państwa" (wyd. 1925 r.) wspomina o zjeździe w Pieniakach (str. 129): „Kiedy w roku 1912 u Tadeusza Cieńskiego w Pieniakach pod Brodami odbyła się poufna konferencja trójzaborowa, na której rozważaliśmy nasze zadania wobec możliwej wojny, nazajutrz w piśmie socjalistycznym znany publicysta alarmował Austrię, że tam przeciw niej konspirowano".

Zjazd ten odbył się w domu moich rodziców. Chcę tu przedstawić jego cel i przebieg.

Wojna trójprzymierza Niemiec, Austrii i Włoch z trójporozumieniem Anglii, Francji i Rosji w r. 1912 wisiała już w powietrzu. Wiele znaków świadczyło o nadchodzącej burzy. Ludzie, którzy śledzili bieg wypadków rozumieli, że olbrzymie zbrojenia potęg europejskich muszą do starcia doprowadzić.

Ubiegłego roku w związku z obchodem 60-lecia Ligi Narodowej przypomniano nam o stanie umysłów w Polsce w tym okresie.

We wszystkich trzech zaborach, ci którzy przedstawiali sprawę polską w parlamentach i ci którzy się polityką zajmowali w kraju patrzyli w przyszłość pełni otuchy i niepokoju. Rozumieli, dzięki wytężonej pracy Ligi Narodowej, że konieczne jest przygotowanie linii polityki polskiej na chwilę wybuchu światowego konfliktu zbrojnego. Taką jednolitą akcję całego narodu trzeba było omówić, zdecydować i zatwierdzić uchwałami na zjeździe międzydzielnicowym czołowych przedstawicieli polityki polskiej.

W ówczesnych stosunkach była to sprawa niełatwa. Łączność między zaborami utrudniało mnóstwo celowo spiętrzonych przepisów i zakazów. Niemniej należało je zwalczyć czy obejść. W ciągu lata 1912 r. zapadła we Lwowie decyzja, że zjazd poważnych polityków z zaboru niemieckiego, z Królestwa i zabranych krajów oraz z tzw. Galicji, to jest z zaboru austriackiego, najłatwiej urządzić na wsi w zaborze austriackim. Wieś wydawała się być bezpieczniejsza od miasta, dalsza od czujnego oka policji i władz administracyjnych.

Ojciec mój Tadeusz Cieński zaproponował na miejsce zjazdu Pieniaki, majątek moich rodziców w powiecie brodzkim, o sto kilometrów na wschód od Lwowa, tuż przy ówczesnej granicy rosyjskiej. Dwór w Pieniakach był bardzo duży, co umożliwiało wygodne pomieszczenie gości, odległość od stacji kolejowej 32 kilometry w tym wypadku miała swe dobre strony. Częste zjazdy na polowania uzasadniały liczny udział gości w jesieni.

Po starannym rozważeniu zawczasu rozesłano z biura Rady Narodowej zaproszenia na zjazd do grona polityków polskich. Porządek obrad czterodniowych przygotowano dokładnie.

Gospodynią w Pieniakach była moja matka Maria z Dieduszyckich Cieńska, córka nieżyjącego już Włodzimierza, twórcy muzeum przyrodniczego we Lwowie i marszałka sejmu autonomicznego Galicji.

W domu rodziców w Pieniakach pozostały po dziadku zbiory sztuki ludowej: kilimy, misy, łyżki i pisanki, piękny komplet polskiej broni palnej i siecznej, dużo myśliwskich trofeów z pieniackich lasów.

Ojciec mój, prawnik z wykształcenia, od wielu lat posłował na sejm krajowy, od 9 lat był prezesem Rady Narodowej zaboru austriackiego we Lwowie. Rada Narodowa wyznaczała polskich kandydatów w czasie wyborów do sejmu krajowego i do parlamentu wiedeńskiego. Stronnictwa polskie wchodzące w skład Rady Narodowej uzgadniały kandydatów, tak by nie rozbijać głosów polskich i dzięki temu osiągać możliwie najlepsze wyniki mimo ruskich i żydowskich wyborców. Prócz tej akcji Rada Narodowa miała swe przedstawicielstwa, tzw. Biura Prasowe w Paryżu, Rzymie, Londynie i Zurychu. Biura dostarczały prasie danego kraju materiałów dotyczących spraw polskich i utrzymywały kontakt z poważnymi ośrodkami politycznymi i naukowymi. Rada Narodowa wydawała wiele broszur i książek w obcych językach, oświetlając w nich sprawy polskie we wszystkich zaborach. Była też ośrodkiem żywej i wszechstronnej działalności w zaborze austriackim.

Przygotowania do tak licznego i poważnego zjazdu przeprowadzili dokładnie moi rodzice. Postanowili umożliwić gościom swobodną wymianę myśli poza samymi obradami. Wszak mieli się u nas spotkać czołowi przedstawiciele i pracownicy sprawy polskiej. Spodziewaliśmy się, że z tego zbliżenia wyniknie wiele dobrego.

Na początku roku szkolnego wyjechali do miasta trzej moi bracia i siostra. W domu zostałyśmy dwie dorastające panny oraz mały braciszek i siostrzyczka. Ojciec sprowadził swego bratanka, słuchacza wiedeńskiej akademii rolniczej, by mu pomagał w spełnieniu licznych obowiązków gospodarza. Zjechali z córką wujostwo Czartoryscy z Pełkiń. Wuj był prezesem Centrum, klubu sejmu krajowego, do którego należał też mój ojciec.

Pogoda była piękna, wczesna jesień ubarwiła drzewa złotem i miedzią, a kwiaty zdobiły grzędy w wielkim parku. Z odległej stacji kolejowej zjeżdżali goście przez cały dzień. Przywoziły ich konie lub samochód, pierwszy w tych stronach, czerwony wóz Itala.

W zjeździe wzięli udział: z Królestwa: Roman Dmowski, Ludwik Górski i Jan Stecki. Z zaboru niemieckiego: Wojciech Trąmpczyński, Adam Żółtowski, Władysław Seyda, prezes Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy. Z zaboru austriackiego: profesor Stanisław Głąbiński, prezes Koła Polskiego w parlamencie austriackim, Franciszek Stefczyk, prezes Związku Wiejskich Kas Pożyczkowych, dr Ernest Adam, prezes Towarzystwa Szkoły Ludowej, profesor Józef Milewski, profesor ekonomii na uniwersytecie lwowskim, Witold Czartoryski. Z zaboru rosyjskiego: Joachim Bartoszewicz czołowy działacz z Kijowa, Aleksander Chomiński z Białorusi, Aleksander Żukowski z Petersburga i Antoni Czerwiński z Podola.

Uczestnicy zjazdu poznali się wieczorem przed obiadem. Pan Roman zdawał się znać każdego.

Nazajutrz od 10 rano rozpoczęły się obrady w dużej sali na parterze. Ojciec zarządził dokładny nadzór nad otaczającymi salę pokojami, by nikt nie

powołany nie mógł podsłuchiwać. Pamiętam zdumienie, jakim nas napełniła ta ostrożność.

Protokół obrad prowadził sekretarz Rady Narodowej, Poznańczyk zamieszkały we Lwowie, dr Stanisław Węckowski. Na stole pod oknem rozłożył wszystkie wydawnictwa Rady Narodowej. Oglądano je z zainteresowaniem. Obradom przewodniczyli na przemian mój ojciec i wuj Czartoryski.

Przez cztery dni zbierali się uczestnicy zjazdu dwa razy dziennie, od 10 do 1 i od 4 do 6. Reprezentant każdego zaboru referował zasadnicze stanowisko polityków polskich w odniesieniu do linii, jaką należy obrać w razie wybuchu wojny, po czym toczyła się ożywiona, nieraz gorąca dyskusja.

Jakim sposobem mogłam wiedzieć, co się na zjeździe dzieje? Oto widząc, jak niesłychanie mi zależy na tym by posłyszeć wszystko co powiedzą, ojciec orzekł, że panienka nie może siedzieć w pokoju obrad, bo to będzie panom przeszkadzać, ale jeżeli chcę to mogę słuchać obok za drzwiami, byle tylko zachowywać się bezszelestnie. Wyznał Panu Romanowi, że mi dał takie pozwolenie.

W pewnej chwili trzeciego dnia obrad, gdy cała w słuch zamieniona śledziłam dyskusję, nagle otworzyły się drzwi z sali i Pan Roman stanął przede mną. Wyglądał rozbawiony i głośno powiedział: Pewnie pani nie słyszy dobrze przez zamknięte drzwi. Prosimy uprzejmie niech je pani uchyli. Odtąd jeszcze wyraźniej słyszałam wszystko.

Obrady przesuwały przed oczami stosunki panujące na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów, obejmowały i Śląsk. Przedstawiano sprawy polskie w parlamentach Wiednia i Berlina, mówiono co się dzieje w rosyjskiej Dumie. Ludzie, mający decydujący wpływ na opinię narodu rozdzielonego od stu pięćdziesięciu lat między trzy wrogie nam mocarstwa, rozważali jak nawą ojczyzny pokierować w chwili gdy dojdzie do wojny ludów, którą przewidywali w bliskiej przyszłości, a która miała w ich przekonaniu dać nam wolną i zjednoczoną Polskę.

Wiele kłopotu mieli uczestnicy zjazdu z p. Stefczykiem. Ten znakomity działacz na polu ekonomicznym, który wyrwał z rąk kapitału żydowskiego setki i tysiące chłopskich gospodarstw, dzięki zorganizowaniu wiejskich kas pożyczkowych, nie mógł się przekonać, że głównym niebezpieczeństwem Polski są Niemcy. Uważał Moskali za największych wrogów i nie odstępował od tego. Z niepokojem słuchał jednomyślnych poglądów innych polityków. Pan Roman nie szczędził czasu i wysiłków, by go przekonać, ale bodaj że mu się to nie całkiem udało i p. Stefczyk wstrzymał się, o ile pamiętam, od głosowania nad ostatecznymi uchwałami zjazdu.

Wszyscy uznawali, że najlepszy referat wygłosił profesor Józef Milewski. Mówił on o stosunkach w zaborze austriackim pod względem ekonomicznym, politycznym, społecznym i o szkolnictwie. Miał doskonałą dykcję, posługiwał się pięknym polskim językiem i ujmował bardzo głęboko starannie opracowany całokształt spraw, które poruszał.

Czwartego dnia zapadła ostateczna, bodaj że jednogłośna uchwała, stwierdzająca, że największym wrogiem Polski są Niemcy, że najważniejszą sprawą jest zjednoczenie wszystkich trzech zaborów, dostęp do morza, uzyskanie dla Polski Górnego Śląska, że naród cały nie może w żadnym wypadku popierać niemieckiej ani austriackiej polityki, że natomiast Rosja w przymierzu z Francją i Anglią jest mniej od Niemców niebezpieczna i nie należy utrudniać jej naszym stanowiskiem walki z Niemcami.

Przyszłość dowiodła, że trafnie oceniono sytuację i słuszną obrano drogę.

Poza obradami pozostawało w dniu jeszcze dużo czasu na wymianę myśli, na poruszanie mnóstwa spraw związanych wspólną polską rzeczywistością.

Podczas południowych i wieczornych posiłków w wielkiej sali jadalnej na piętrze rozmieszczałyśmy gości według starannie ułożonego planu, tak by koło każdej z pięciu obecnych pań siedział kolejno każdy z panów.

Jadalnia na piętrze była to duża sala z dwoma piecami w dwóch rogach i trzeba oknami. Widok obejmował szeroki horyzont zamknięty pasmem wzgórz. Za dziedzińcem w dużym stawie okolonym lesistymi pagórkami odbijały się zorze zachodu, wieś ukryta w drzewach leżała nad stawem. Biały murowany kościół z blaszaną wieżą górował nad wsią.

Barwne grupy drzew okalały trawnik przed dworem, na prawo była kaplica, a niżej krępa, bielona baszta przy pięknej bramie wjazdowej z ciosanych słupów i kutej żelaznej kraty. Dwór był obszerny, piętrowy z dwoma parterowymi skrzydłami, które obramowywały dziedziniec. Na środku trawnika rosły dwa wspaniałe kasztany, teraz już zdobne niby w złote płaszcze jesieni sięgające zielonej trawy. Kamienny zegar słoneczny stał na trawie.

Stół jadalny był tak szeroki, że na wąskich końcach mieściły się wygodnie dwie osoby. Rodzice moi siedzieli naprzeciw siebie pośrodku długich boków stołu. Matka twarzą do okien, ojciec do zakrywającego całą ścianę dębowego kredensu.

Moja siostra, wysmukła, jasna blondynka, miała podczas tych uroczystych posiłków coraz nową przygodę. Sąsiedzi z obu stron każdej pani zmieniali się codziennie, ona nie mogła uprosić matki, by jej pozwoliła siedzieć koło stałego towarzysza. Stąd przy jej nieśmiałości zawsze coś się zdarzyło: oto dobroduszny p. Aleksander Chomiński chciał z milczącą panienką nawiązać rozmowę, więc zapytał:

— Jak pani na imię? — pewny, że mu na to odpowie.

— Klementyna — zdobyła się na jedno słowo.

— To pewnie na pamiątkę prababki — powiedział.

Jakoż tak było istotnie. Ten zbieg okoliczności wzruszył ją do tego stopnia, że już do końca obiadu nie otworzyła ust. Potem mi powiedziała, że może p. Chomiński umie wszystko odgadnąć, więc bała się z nim rozmawiać.

Kiedy indziej profesor Stanisław Głąbiński przyjrzał jej się uważnie przez szerokość stołu i głośno się odezwał:

— Pani pewno ma katar, bo nosek taki czerwony. Spiekła raka i tak się zażenowała, że mnie strach ogarnął czy się nie rozpłacze.

Na trzeci dzień zjazdu matka moja zachorowała i nie mogła pełnić obowiązków gospodyni. Następnie wywiązał się ciężki tyfus. Oboje rodzice i ciotka Czartoryska orzekli, że ja będę przy stole siedzieć na mamy miejscu. Wszyscy panowie gładko i z pewną dozą ojcowskiej troski ułatwiali mi spełnienie tej niezmiernie odpowiedzialnej funkcji. Byli ogromnie poczciwi, zawsze pamiętam, jak spod oka patrzyli czy sobie dam radę. Po wieczornym obiedzie musiałam stać na progu salonu, a oni wszyscy podchodzili i uroczyście całowali mnie w rękę z wielką powagą. Tylko wuj Czartoryski pocałował mnie w głowę. Siostra moja twierdziła, że ona by uciekła.

Ale w salonie na fotelu mamy zasiadała ciotka Czartoryska i koło niej zbierało się grono gości, ja zaś podawałam kawę i cukier.

Zauważyliśmy, że p. Joachim Bartoszewicz prawie nie widzi. Kieliszek postawił nie na tacę tylko obok tłukąc go, rękę na powitanie podawał sztywnie wyciągniętą i czekał, by ją ujęto. Ojciec powierzył opiekę nad nim naszemu stryjecznemu bratu, który odtąd zręcznie i delikatnie prowadził go rano na śniadanie, a wieczorem do pokoju gościnnego.

Dziadek mój zbudował w Pieniakach ogromną cieplarnię. Budowa ta oparta o południową ścianę skrzydła dworu, była bardzo wysoka o szklanych ścianach i dachu z podwójnych szyb. Cieplarnia podzielona na oddziały o różnych temperaturach mieściła palmiarnię i kwiaty, bardzo ciepłą i wilgotną storczykarnię i chłodny dział drzew szpilkowych. Wieczorem oświetlały ją lampy łukowe.

Podczas zjazdu goście wchodzili do niej kilka razy po południu. Wtedy się pokazało, że Pan Roman zna nazwy kwiatów, drzew i krzewów nie gorzej od mojej matki, która znalazła w nim partnera do rozmów o przyrodzie, a

zwłaszcza o roślinach, ich hodowli i miejscach skąd pochodzą. Pamiętam ich jak siedząc na ławce pod ścianą cieplarni na tle kwitnących jeszcze róż i klematisów opowiadają sobie o kwiatach. Pan Roman podczas swego pobytu w Japonii zdołał i florę tamtejszą zaobserwować.

Na piętrze dworu obok jadalni był salonik „mozaikowy“ z oknami aż do ziemi, ściany wyłożone były kolorowymi stiukami. Obok duży salon, którego ściany pokrywał tkany w Lyonie błękitny adamaszek z początku XIX w.

Salon obejrzał dokładnie obchodząc go wokoło z założonymi w tył rękami profesor Głąbiński, po czym zrobił uprzejmą uwagę, która mnie przeraziła: Ładnie to państwo — powiedział — odnowili na nasze przyjęcie. Nie wyprowadziłam go z błędu . . .

Po południu wychodziliśmy do parku, gdzie Pan Roman organizował zawody i brał w nich żywy udział. Wieczorami w salonach długo w noc przeciągały się rozmowy. Zżywaliśmy się z sobą, ogarniała nas atmosfera domu, Polski, jedności i wspólnoty opartej na tysiącu lat historii i na wierze w przyszłość, której drogi należało przewidzieć i urobić.

Ostatniego wieczoru ojciec mój wniósł w ręce Pana Romana toast na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej stuletnim maślaczem wykopanym niedawno w piwnicy. Gęsty był ów napój jak oliwa. Późniejszy marszałek sejmu ustawodawczego Wojciech Trąmpczyński oświadczył, że maślaczem tym wznoszono niezawodnie ten toast w wolnej Polsce, oby znowu w wolnej Polsce pić nim zdrowie Rzeczypospolitej.

P. Ludwik Górski wyznał mi, że jadąc do Pieniak nie przewidywał, iż weźmie udział w takich godach politycznych, jak się wyraził.

Nad wszystkimi uczestnikami zjazdu górował Pan Roman znajomością spraw polskich we wszystkich trzech zaborach, ogromną wiedzą polityczną współczesną, pamięcią niezrównaną, jasnością myśli i przekonywającą prostotą z jaką je wyrażał.

Był postacią, z której biła potęga woli i umysłu, decyzja i zwarta a mocna miłość narodu od początków piastowskich, poprzez czasy obecne w najdalszą przyszłość. Jednak nie wysuwał się na pierwsze miejsce, nie zasłaniał sobą innych. Nie współzawodniczył.

Górował — będąc sobą.

Po konferencji w Pieniakach „odbyły się — pisze Dmowski w cytowanej już książce — wielkie tajne zjazdy trójzaborowe naszej organizacji poświęcone prawie wyłącznie ocenie położenia międzynarodowego, widoków otwierających się dla sprawy polskiej i ustaleniu, po której drodze ma pójść nasze działanie od chwili wybuchu wojny. Zjazdy te miały miejsce w 1912 roku we Lwowie, 1913 roku w Berlinie i wiosną 1914 roku w Wiedniu“.

Tak więc po przygotowaniu w Pieniakach i po ustaleniu tam wytycznych prowadzono dalszą akcję.

W parę tygodni po zjeździe w Pieniakach wybuchła wojna bałkańska, a w dwa lata później zderzyły się zbrojnie państwa trójprzymierza z państwami trójporozumienia, rozszalała pierwsza wojna światowa.

Z klęski Niemiec, Austrii i Rosji powstała zjednoczona, wolna i niepodległa Rzeczpospolita Polska. Przewidująca myśl jej polityków odegrała tu niemałą rolę.

ROMAN DMOWSKI W AMERYCE

Fragmenty z przemówienia Aleksandra Znamięckiego na obchodzie 60-lecia Ligi Narodowej w Polskim Domu Narodowym w Nowym Jorku

W 15 rocznicę zgonu Romana Dmowskiego, z głębokim wzruszeniem wspominam jesień 1918 r. Ukończyłem wówczas moją akcję jako jeden z trzech członków Polskiej Misji Wojskowej w Stanach Zjednoczonych. Licząc się z możliwością rychłego końca wojny, przygotowywałem się do wzięcia udziału jako sekretarz i członek Amerykańskiej Misji Żywnościowej. Wyjazd mój do Polski był przewidywany przez Herberta Hoovera możliwie najrychlej po rozejmie, wobec katastrofalnego położenia ludności.

W hotelu Gotham przy 5 Ave. w Nowym Jorku, gdzie zamieszkiwał i miał swój sekretariat Ignacy Paderewski — przedstawiciel na Amerykę Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu, wrzała wytężona praca. Borykano się dzielnie z piętrzącymi się przeszkodami i wobec trudności komunikacyjnych z niepokojem oczekiwano przybycia Dmowskiego. Przyrzekł on, iż będzie obecny na bardzo ważnym Sejmie Wychodźstwa Polskiego w Detroit, Mich. w początku września 1918 r.

Na szczęście powracający do Ameryki Hoover, tak zawsze oddany sprawie niepodległości Polski, zaprosił Dmowskiego, by mu towarzyszył w podróży przez ocean. Na statku „Mauretania“ pełniącym wtedy służbę amerykańskiego transportowca wojennego, przybył Dmowski do Nowego Jorku. W dniu przyjazdu miałem z nim dłuższą rozmowę. Zrozumiawszy, jak wielką przywiązuje on wagę do rezultatów swojego pobytu w Stanach Zjednoczonych ofiarowałem mu bezinteresownie swoje usługi jako sekretarza na cały okres pobytu w Ameryce. Propozycja moja została przyjęta w bardzo serdeczny sposób i od tej chwili każdy prawie dzień spędzałem u boku Dmowskiego, uważając to za wielki dla siebie przywilej.

Z niepokojem pielęgnowałem Dmowskiego w hotelu Plaza w Nowym Jorku, gdzie zamieszkał, w czasie choroby (panowała wówczas w Ameryce epidemia influenzy).

Pomimo pełnej poświęcenia i wydatnej działalności Paderewskiego, mającego życzliwy posłuch u prez. Wilsona i przyjaźni jego z płk House‘m, najbliższym doradcą prezydenta, pogląd na przyszłość Polski daleko odbiegał od oczekiwań umęczonego wojną i okupacją narodu.

Za pierwszy niezbędny krok uważał Dmowski uświadomienie wychodźstwa o istniejącej sytuacji oraz o grożącym niebezpieczeństwie pominięcia słusznych żądań kraju. Dzięki wielkiemu dziełu Paderewskiego, zjednoczenia prawie wszystkich organizacji w Wydziale Narodowym w Chicago, pod przewodnictwem niezmiernie zasłużonego prezesa Jana Smulskiego, rezultatem Sejmu w Detroit było pełne poparcie programu Komitetu Narodowego w Paryżu.

Program ten był w sposób niezwykle przekonywający przedstawiony w przemówieniu Dmowskiego. Poza tym Sejm uchwalił natychmiast rozpoczęcie zbiórki kilku milionów dolarów na polską akcję polityczną. Po powrocie z Detroit towarzyszyłem Dmowskiemu w podróży do Waszyngtonu, gdzie wraz z Paderewskim uzyskał audiencję u prez. Wilsona i sekretarza stanu Lansinga. Okazało się, że sprawa oderwania od Niemiec Poznańskiego, Śląska, Prus Zachodnich i Gdańska była źle zrozumiana. Rewindykacja tych ziem nie była nawet objęta w planach komisji House‘a przygotowanych dla delegacji amerykańskiej na konferencję pokojową. Głęboko poruszeni Paderewski i Dmowski postanowili działać natychmiast i to jak najenergiczniej. Za ich sprawą Wydział Narodowy w Chicago wydał gorącą, pełną patriotyzmu odezwę wzywającą do masowych zebrań w tej sprawie we wszystkich ośrodkach polskich. Na telegraficzną prośbę o przyjęcie, Dmowski został natychmiast zaproszony do bawiącego na wywczasach w Nowej Anglii płk House‘a. Tam potrafił on wyświetlić sprawę odpowiednio i pchnąć ją na pożądane tory tak, że niebawem materiały komisji House‘a zostały odpowiednio uzupełnione.

Wynikiem licznych konferencji Dmowskiego z przedstawicielami prasy amerykańskiej był szereg artykułów życzliwych dla Polski, a w szczególności jego wieloletniego przyjaciela Millera, redaktora politycznego „New York Timesa".

Równocześnie Dmowski zabrał się do trudnego dzieła przygotowania przyrzeczonej prez. Wilsonowi mapy przyszłej Polski, mapy zgodnej z uchwałami Komitetu Narodowego w Paryżu oraz treścią noty, motywującej terytorialne żądania Polski. W apartamencie Dmowskiego w Nowym Jorku (hotel Plaza) oraz moim mieszkaniu, trwała pod kierunkiem Prezesa wytężona praca. Dnia 8 października 1918 r. tak mapa jak i nota zostały doręczone prez. Wilsonowi.

Wyrazem niezmiernego patriotyzmu wychodźstwa polskiego, które dało blisko 25 tysięcy ochotników do Armii Polskiej, walczącej we Francji, które zebrało milionowe sumy na akcję polityczną i które przemówiło jednym potężnym głosem i domagało się sprawiedliwości dla kraju ojców, była olbrzymia manifestacja Polonii na Wystawie w Chicago. Był to Dzień Polski w kampanii sprzedaży Pożyczki Wolnościowej (Liberty Bonds) rządu Stanów Zjednoczonych. Dmowski witany owacyjnie, przemawiał wymownie, apelując o jak największe poparcie tej pożyczki, poruszając jednocześnie sprawę niepodległości Polski.

W układzie rozejmowym był groźny dla Polski punkt zobowiązujący Niemcy do natychmiastowego ewakuowania wszystkich zajętych podczas wojny terytoriów.

Dmowski dowiedziawszy się o tym, podczas rozmowy z Lansingiem uzyskał zmianę tego punktu przez dodanie zastrzeżenia, iż ewakuacja wojsk niemieckich na wschodzie może nastąpić dopiero po zażądaniu jej przez państwa sprzymierzone, co niewątpliwie uchroniło Polskę przed zalewem bolszewickim.

W Kongresie Stanów Zjednoczonych wysłuchaliśmy odczytanych przez prez. Wilsona warunków rozejmu z pamiętnym punktem 13 dotyczącym Polski.

W pół godziny potem Dmowski złożył w Białym Domu pożegnalną wizytę, kiedy to podkreślił oczekiwania kilkomilionowej rzeszy Amerykanów pochodzenia polskiego. W parę dni po wizycie w Waszyngtonie, dzięki interwencji wysokiego komisarza rządu francuskiego A. Tardieu, przydzielono nam miejsce na statku „France", odpływającym jako amerykański transportowiec wojenny do Brestu.

Kiedy widziałem Pana Romana ostatni raz przed śmiercią, w obecności obecnego prezesa Stronnictwa Narodowego Tadeusza Bieleckiego, Dmowski wypowiedział prorocze wprost słowa pełne smutku i obawy o losy Polski, której poświęcił całe swoje życie.

POLONIA AMERYKAŃSKA WOBEC LIGI NARODOWEJ

Wychodzący w Buffalo „Dziennik dla Wszystkich", w związku z licznymi obchodami w Ameryce 60-lecia Ligi Narodowej przypomniał w artykule redakcyjnym Mariana Woźnickiego stanowisko Polonii wobec sprawy odbudowania państwa. W artykule czytamy:

„Uznając Ligę Narodową w Polsce za prawnie funkcjonującą władzę tajnie istniejącego państwa polskiego i spadkobierczynię wszystkich praw piastowanych przez poprzednie rządy tego państwa, od królów i sejmów polskich, których szereg zamyka znany szerszemu ogółowi Rząd Narodowy z roku 1863, wyrażamy władzy tej narodowej naszą cześć i wdzięczność za jej pracę dla dobra narodu polskiego. Uznając ZNP w Ameryce za instytucję w prawach i dążeniach równoległe idącą z Ligą Narodową w Europie, uważamy się za przedstawicieli idei tej w społeczeństwie polsko-amerykańskim, tak samo, jak Liga Narodowa jest uznaną jej reprezentantką w Europie."

Słowa te znajdujemy w rezolucji uchwalonej przez Sejm Związku Narodowego Polskiego, odbyty w r. 1901 w Toledo, O. Przytoczona rezolucja nie jest ani pierwszą, ani jedyną w tej sprawie. Już bowiem Sejm ZNP odbyty w r. 1897 wyraża życzenie, aby podtrzymać i rozszerzyć łączność ZNP ze Związkiem Wychodźstwa Polskiego w Europie oraz ze Stronnictwem Narodowo-Demokratycznym w kraju.

Jeszcze wyraźniej stawia sprawę współpracy Polonii z polskim obozem narodowo-demokratycznym Sejm ZNP w r. 1899, który odbył się w Grand Rapids, Mich. W rezolucji tego sejmu czytamy: „Zaznaczamy naszą łączność w pracach wychodźstwa po całym świecie rozrzuconego, mających na celu moralne i materialne poparcie tej walki i tych usiłowań, jakimi jest przejęte Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe". Sejm Konstytucyjny ZNP zwołany w r. 1900 do Chicago ponawia poprzednie postanowienia. Rezolucja powtarza dosłownie oświadczenie sejmu z r. 1899.

Akcja Ligi Narodowej ożywiła się w późniejszych latach, kiedy z jej ramienia red. Stanisław Osada objechał ośrodki Polonii. Tam też w tych ośrodkach działali przedstawiciele Ligi Narodowej.

Liga Narodowa znalazła również poparcie Sokolstwa Polskiego na walnym zlocie odbytym w r. 1905 w Chicago, Ill. Rezolucja tego zlotu powiada wyraźnie: „My, delegaci Siódmego Walnego Zlotu Związku Sokołów Polskich w Ameryce, przejęci zasadami Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, które pod naczelnym kierownictwem Ligi Narodowej dąży do zespolenia wszystkich sił narodu do jednego celu, odzyskania niepodległości ziem polskich i stworzenia państwa polskiego...". W konkluzji powyższego stwierdzenia zlot Sokołów wyraża potrzebę „położenia podwalin pod jedno wielkie Stronnictwo Narodowe, które objąwszy wszystkie potrzeby naszego życia politycznego, towarzyskiego i umysłowego w Ameryce, podążałoby tym samym szlakiem do wielkich celów, które narodowi naszemu wyznaczyła Opatrzność, a którymi kroczy potężne Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe w Europie".

Tak więc już u zarania tworzącej się siły Polonii amerykańskiej znajdujemy Ligę Narodową oraz doszukać się możemy bez trudności wpływów, jakie wywarło Stronnictwo-Demokratyczno-Narodowe na kształtowanie się oblicza politycznego Polonii.

Jak silne były te wpływy, jak głębokie wywarły wrażenie, świadczy pierwsza wojna światowa i stanowisko, jakie zajęła Polonia amerykańska, która prawie bez wyjątku poszła po linii politycznej wytyczonej przez Ligę Narodową oraz Komitet Narodowy w Paryżu, a Radę Narodową i Wydział Narodowy na ziemi amerykańskiej.

LIGA NARODOWA W ZABORZE PRUSKIM

W „Głosie Polskim" w Buenos Aires p. Marian Seyda, b. członek Komitetu Centralnego Ligi Narodowej zamieścił wspomnienia zawierające uzupełnienie naszego albumu założycieli i przywódców Ligi. Twierdzi on, że głównymi twórcami Ligi w zaborze pruskim byli Stanisław Celichowski, Bernard Chrzanowski, ks. Arkadiusz Lisiecki, Bolesław Marchlewski, Czesław Meissner, ks. Józef Prądzyński, Zygmunt Seyda, Zofia Sokolnicka i dr Ksawery Zakrzewski. Natomiast (zamieszczeni w albumie) Karol Rzepecki, Władysław Seyda i ks. Antoni Stychel formalnie do Ligi nie należeli. Jako przyczynę w stosunku do dwóch ostatnich autor wskazuje, że „należeli do starszego jeszcze pokolenia, które było w czasach przedwojennych przeciwne robocie konspiracyjnej", co „nie zmniejsza w niczym ich wielkich zasług narodowych".

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

O POLITYCE WYZWOLENIA

James Burnham: CONTAINMENT OR LIBERATION? John Day, Co. Nowy Jork 1953.

W ostatnich latach James Burnham coraz więcej skłaniał się ku rozważaniom na tematy polityczne, głównie polityki międzynarodowej. Sławę swoją jednak ugruntował wydaną w 1941 r. książką pt. „The Managerial Revolution“, w której raczej zajmował się problemami dokonywających się na naszych oczach, głęboko sięgających przeobrażeń społecznych i gospodarczych.

Ostatnia jego książka wyciąga logiczne konsekwencje z proklamowanej przez partię republikańską w Stanach Zjednoczonych polityki wyzwolenia, mającej zastąpić prowadzoną przez demokratów politykę powstrzymywania Rosji w dziedzinie stosunków międzynarodowych (tzw. policy of containment).

Jak wiadomo, autorem programu „containment“ był George F. Kennan, późniejszy ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie, który jako „Mr. X“ w zeszycie lipcowym kwartalnika „Foreign Affairs“ z 1947 r. po raz pierwszy ustalił linie wytyczne tego programu. Burnham przeprowadza obszerną krytykę polityki powstrzymywania, zarzucając jej, że jest sprzeczna sama z sobą zakładając możliwość współistnienia socjalizmu z kapitalizmem, tj. Związku Sowieckiego z wolnym światem, a w innej części swego rozumowania przecząc tej tezie. Czysto defensywny charakter tej polityki jest szczególną jej wadą, zwłaszcza wobec takiego przeciwnika jakim są Sowiety. Pozytywna treść programu, tj. poprawianie sytuacji gospodarczej, społecznej i wojskowej krajów niekomunistycznych jest, zdaniem Burnhama, niewykonalna w ramach polityki powstrzymywania. Wreszcie, gdyby nawet cel tej polityki dał się osiągnąć, nie byłby on ani pożyteczny, ani pożądany. Konsolidacja imperium sowieckiego, akceptowana przez politykę powstrzymywania, oznacza dla Ameryki i dla wolnego świata niesłychane niebezpieczeństwo.

Polityka „containment“ nie rozumie rewolucyjnej zawartości idei komunistycznej, realizowanej ustawicznie i nie bez powodzenia przez Związek Sowiecki, który traktowany jest przez wyznawców polityki powstrzymywania mniej więcej na tej samej płaszczyźnie, co każde inne państwo.

W praktyce polityka powstrzymywania zmierza do wzmocnienia Europy zachodniej, wychodząc z założenia, że ekspansja Rosji na zachód grozi szczególnym niebezpieczeństwem i musi być za wszelką cenę powstrzymana. Burnham godzi się częściowo na tę orientację polityki powstrzymywania, jednak twierdzi, że obrona Europy zachodniej nie powinna być jedynym lub choćby tylko głównym celem poprawnej polityki Stanów Zjednoczonych. Twierdzi dalej, że polityka powstrzymywania nie jest bynajmniej najlepszym sposobem obrony Europy zachodniej, która może byłaby zapewniona lepiej, gdyby orientacja polityki amerykańskiej przeniosła się w innym kierunku.

Waszyngton dąży niewątpliwie do konsolidacji Europy zachodniej. Ale ten wysiłek konsolidacji europejskiej jest pochodną polityki powstrzymywania, która stara się zapobiec dalszej ekspansji sowieckiej, lecz wyklucza wszelką działalność wewnątrz imperium sowieckiego. Wskutek tego na wszystkich konferencjach, radach, komitetach i sztabach „europejskich“ reprezentowane są tylko narody Europy zachodniej, a pomijane systematycznie narody Europy wschodniej, znajdujące się wewnątrz imperium sowieckiego. „W języku działania politycznego — pisze Burnham — program powstrzymywania mówi Europejczykom, że Zachód ich opuścił i że Waszyngton gotów jest dojść do porozumienia z Moskwą na zasadzie stanu faktycznego z 1947 r. lub nawet na zasadzie podziału świata z 1949 r., tj. na zasadzie ujarzmienia Europy wschodniej i Chin przez komunistów.“

Polityka „containment“ ułatwia niewątpliwie grę polityce sowieckiej, która twierdzi, że walka toczy się między Zachodem a Wschodem. By temu przeciwdziałać, Burnham domaga się zapewnienia udziału przedstawicielom wszystkich narodów Europy wschodniej w akcjach i organizacjach mających na celu siłę i jedność Europy, domaga się też tworzenia i dopuszczenia polskich, rumuńskich, czeskich, ukraińskich itd. jednostek jako części składowych armii europejskiej, na tych samych prawach co jednostki francuskie, zachodnio-niemieckie i włoskie.

Burnham zwraca też uwagę, iż zbyt wyłączne wiązanie się ze strategią zachodnio-europejską wysuwa dwa problemy prawie nierozwiązalne. Pierwszy, to kwestia udziału Niemiec w antysowieckim froncie wojskowym. Z jednej strony sprawa ta działa rozprzęgająco na spoistość aliansu zachodniego, z drugiej wzmaga obawy wśród narodów wschodnio-europejskich, iż starcie Zachodu ze Związkiem Sowieckim może przynieść w rezultacie hegemonię niemiecką w Europie wschodniej z wszystkimi przerażającymi konsekwencjami. Drugi problem, to sprawa tworzenia wielkich wojsk poborowych w krajach zachodnio-europejskich mających duży odsetek komunistów, jak Włochy i Francja. Wartość bojowa tych wojsk poprzetykanych komunistami, będzie niewielka.

Jakkolwiek wyłączne koncentrowanie wysiłku amerykańskiego na konsolidacji europejskiej nie daje pożądanych rezultatów, przeniesienie punktu ciężkości polityki amerykańskiej do Azji nie obiecuje lepszych wyników. Burnham uważa jednak za rzecz zupełnie możliwą stworzenie wartościowych baz wojskowych w rejonach, które pod względem potencjału społecznego nie mają wielkiej wartości.

Burnham wyznacza polityce amerykańskiej szereg zadań pozytywnych, z których najważniejszy jest postulat zachowania zdrowia i siły frontu wewnętrznego. Przyjmując, że ten warunek będzie spełniony uważa, że strategia, która miałaby swe ognisko geopolityczne w Europie wschodniej, tj. w Europie leżącej między żelazną kurtyną a Uralem, byłaby dla celów Ameryki najkorzystniejsza. Polityka amerykańska powinna więc skoncentrować swe wysiłki na stwarzaniu trudności przeciwnikowi na tym terenie i osłabianiu jego pozycji w punktach bliskich centrum siły komunistycznej.

Jeśli zgodzić się można z twierdzeniem, że strategia wschodnio-europejska jest pożądana, trzeba się zastanowić czy jest możliwa. Burnham przystępuje do tego problemu używając argumentacji dość oryginalnej. Twierdzi np., że lotnictwo strategiczne chociaż stacjonowane w bazach zachodnio-europejskich lub nawet amerykańskich może być uważane za świadomy ele-

ment wschodnio-europejskiej strategii, boć może zrzucać swój ładunek bomb gdziekolwiek na terytorium imperium sowieckiego. Dalej uważa energię sowieckich tarć wewnętrznych za drugi antysowiecki element operujący bezpośrednio z pozycji wschodnio-europejskich. Burnham liczy nawet na wojska państw satelitów jako na czynnik, który można by ewentualnie wygrać przeciwko Sowietom. Stwierdzając, że wojsko polskie, dowodzone obecnie przez Rokossowskiego, jest większe niż wojsko jakiegokolwiek kraju zachodnio-europejskiego, podaje w wątpliwość czy będzie się ono biło za Kreml. Będzie się tylko wówczas biło, jeżeli polityka amerykańska je do tego zmusi. Polacy chcą walczyć o wolną Polskę, a nie za tyrana moskiewskiego obcego im narodowo, kulturalnie i religijnie i skorzystają z każdej okazji, jaka im się nadarzy, by to zrobić. Burnham liczy nawet na grupy wojska sowieckiego, zwłaszcza nierosyjskie, że w razie rozprawy zbrojnej zwrócą się przeciwko komunistycznym władcom. Sugeruje przeznaczenie pewnych funduszów na pozyskanie dla Ameryki wojsk satelickich i sowieckiego. Jak one mają dotrzeć do swego przeznaczenia, o tym nie wspomina.

Burnham zdaje sobie sprawę, że w obecnej sytuacji wywoływanie zbrojnych ruchawek w krajach ujarzmionych przez komunistów nie jest wskazane. Wysuwa słusznie postulat pierwszeństwa wyraźnych aktów politycznych, określających postawę Ameryki i wolnego świata wobec krajów podbitych przez Rosję Sowiecką. Celem polityki wyzwolenia jest wolność wszystkich ludów i narodów, znajdujących się obecnie w niewoli sowieckiego systemu państwowego,ześrodkowanego na Rosji — wolność wszystkich ludów i narodów opanowanych dziś przez komunizm nie wyłączając narodu rosyjskiego. Przyjęcie przez Stany Zjednoczone polityki wyzwolenia będzie w pierwszym rzędzie oznaczało po prostu, że autorytatywną decyzją rządu Ameryka zobowiąże się dążyć do tego celu. Sprawa sposobów dojścia do tego celu wymagać będzie długich rozważań i traktowana powinna być elastycznie. Polityka wyzwolenia jest w swej istocie ofensywna, podczas gdy polityka powstrzymywania jest z natury rzeczy i w sposób nieunikniony defensywna. A tylko ofensywa obiecuje zwycięstwo.

Książka Burnhama ma szereg słabych punktów w szczegółach raczej technicznych. Ogólnej jej tendencji należy jednak przyklasnąć. Jest też książką symptomatyczną, daje wyraz nurtującym w amerykańskich kołach politycznych poglądom albo może raczej instynktownym odruchom, które przekłada na język działania politycznego.

(m. ost.)

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO

OBCHODY 60-LECIA LIGI NARODOWEJ

Montrealskie Koło Stronnictwa Narodowego obchodziło w dniu 17 stycznia 15 rocznicę zgonu Romana Dmowskiego łącznie z 60-leciem założenia Ligi Narodowej.

Słowo wstępne wygłosił p. Zygmunt Celichowski, przewodniczący Komisji Organizacyjnej SN w Kanadzie, sekretarzował dr Adam Bromke. Głównym mówcą był dr Ignacy Człowiekowski. Dekoracje wraz z wielkim portretem Dmowskiego wykonał p. Zdzisław Smoczyński.

Obchód urządzono w dużej sali Związku Weteranów Polskich. Wśród licznych gości obecny był min. Wacław Babiński.

★

W Montrealu odbyło się plenarne zebranie Komisji Organizacyjnej Stronnictwa Narodowego w Kanadzie, z udziałem działaczy w prowincjach Ontario (pp. A. Misiak, A. Łagowski) i Quebec, gdzie skupia się prawie całość życia polskiego i funkcjonują największe i najżywotniejsze Koła SN.

Sprawozdanie wykazało, że Stronnictwo przejawia najżywszą działalność z wszystkich istniejących tu polskich ugrupowań politycznych. Rok ubiegły wykazał skonsolidowanie prac Stronnictwa w Kanadzie.

Przewodniczył zebraniu p. Z. Celichowski, w obradach wzięli udział m.i. pp. E. Baranowski, A. Bromke, I. Człowiekowski, M. Musioł.

★

W Chicago obchód 60-lecia Ligi Narodowej odbył się dnia 24 stycznia w sali Sokolni przy N. Ashland Ave. Do komitetu honorowego wchodził m.i. prezes Kongresu Polonii p. Karol Rozmarek.

Zebranie otworzył przewodniczący komitetu organizacyjnego obchodu mec. Jan Optat Sokołowski. Po inwokacji ks. Lądowicza przemawiali mec. Witold Borysiewicz, p. Jerzy Pańciewicz oraz red. Zygmunt Stefanowicz, jeden z trzech żyjących jeszcze członków zarządu Wydziału Narodowego w Ameryce. Mówił on o działalności i współpracy w latach pierwszej wojny światowej Wydziału Narodowego w Chicago z Polskim Komitetem Narodowym w Paryżu.

„BIULETYN NARODOWY"

Rozwój Stronnictwa Narodowego we Francji stworzył potrzebę wydawania własnego stałego pisma organizacyjnego.

Jest nim miesięcznik pod nazwą „Biuletyn Narodowy", którego pierwszy numer ukazał się w Paryżu z datą 1 lutego. Pismo stawia sobie za cel utrzymanie łączności między Kołami SN we Francji oraz informowanie ich o najważniejszych wydarzeniach organizacyjnych i osiągnięciach SN w wolnym świecie. Dział artykułowy będzie oświetlał zagadnienia polityczne, gospodarcze i społeczne. Projektowany jest także dział referatowy, dla udostępnienia wiedzy o historii, programie, pracach i dokonaniach Stronnictwa Narodowego.

„Biuletyn Narodowy" nawiązuje swą nazwą do konspiracyjnego miesięcznika, który pod tym tytułem wychodził w czasie okupacji niemieckiej na południu Francji w latach 1940-42, a także ukazującego się w Paryżu w r. 1948 bezpośrednio przed wyjściem tygodnika „Placówka".

Numer pierwszy biuletynu przynosi na 12 stronach poza częścią artykułową i historyczną obszerną kronikę organizacyjną oraz wiadomości z polskiego życia społecznego we Francji.

Z SEKCJI PAŃ SN

W dniu 19 bm. (piątek) o godz. 7 wieczorem w lokalu Zjednoczenia Polek — 3, Beaufort Gdns.. S.W.3 (Knightsbridge), Sekcja Pań Wydziału Londyńskiego Stronnictwa Narodowego urządza wieczór taneczny. Wstęp 2/6 od osoby.

Z TEKI PANI MALINY

Malina Zaleszczycka
pułkownikowa dyplomowana

Earl's Court 13. 2. 54

Jagodo Droga,

Nie uwierzysz mi, kiedy Ci powiem, że codzień prawie ktoś umiera. To generał, to pułkownik, to poeta, a przez to poziom na terenie całego życia jako takiego się obniża.

Bardzośmy przeżyli, choć o tym się nie mówi ze względów niepodległościowych, śmierć poety szwoleżerów, wiesz o kim mówię. Chociaż Tobie, coś się razem ze mną wychowała na Kurierze Porannym i Wiadomościach Literackich i źle mnie zrozumieć nie możesz, jak ci dzisiejsi czołowi publicyści naszego obozu niepodległościowo-żołnierskiego, którzy wychowali się na poznańskich i lwowskich endeckich gazetach, Tobie Jagodo powiem, co naprawdę myślę. Tak mi strasznie żal tego Tuwima. Chociaż on teraz służył bolszewikom i Moskwie, ale co za mistrz języka! On nam dawał zastrzyki wyższej świadomości na platformie kulturalnej. Pamiętasz jak babci łzy stawały w oczach, kiedy czy-

tała Płaksina i Miedzianego Jeźdźca, bo mówiła, że to tak pięknie jak po rosyjsku i że jej się Samara przypomina? I niech nikt nie ośmieli się wobec mnie nazywać go Kawalerem Jałtańskim. Taki Mikołajczyk nigdy nie był patriotą, a Tuwim kochał Marszałka. I jak Go kochał i jak tę miłość wyrażał! Człowiek, która tak pisał o Starszym Panu nie mógł być złym Polakiem. Poeci są jak dzieci: wszystko zrobią dla błyskotek i kto im dużo da pieniędzy, ten wszystko w nich może wmówić. Ale to nic, jak wrócimy do wolnej i nieprzymuszonej Polski, to wszystkie utwory Tuwima pisane po Jałcie będą uznane za nielegalne, spali się je wszystkie i zostawi tylko tamte dawne piękne i dobre. Trzeba przecież odrzucać wszystko co nas dzieli, a brać wszystko co nas łączy. Na przestrzeni czasu pozostanie nasz świetlany Tuwim, którego Czarną Mszę czytałyśmy w szkole pod ławką z pierwszymi wypiekami kobiecości na twarzy, zanim jeszcze zaczęłyśmy czytywać Krzywicką i Doktora Rubinrauta. Kochane stare czasy!

Jak się ten świat swoją drogą zmienił za naszego życia: dawniej np. księża utrzymywali ciemnotę na wsi i zwalczali Świadome Macierzyństwo i Postęp, a teraz stoją na straży tradycji narodowej i zdrowej, licznej rodziny polskiej. Dawniej demokracje zachodnie były takie słabe, a dziś tylko przez tchórzostwo nie pobiły jeszcze Sowietów. Dawniej naród był czynnikiem antypaństwowym, a teraz państwo opiera się na skarbie narodowym, radzie narodowej i poczuciu narodowym. Świat cały się zmienia, fluktuuje — jak mówi major Wąż, tylko my jedni, garstka niepodległościowców - państwowców niezłomnie dzierżymy wciąż ten sam sztandar wierności żołnierskiej. A inni rzucają nam kłody pod nogi. Karły, karły, karły!

O Zjednoczeniu jakoś Felicjan nic nie mówi od przyjazdu Szefa, ale widzę, że nie jest w humorze. Ale Felicjan zawsze był pesymistą. Nie jest wcale beznadziejnie: mamy jeszcze Piąty Punkt. A Piąty Punkt ma w sobie siłę bomby wodorowo-atomowej razem wziętej.

Co za głupi naród ci Anglicy. Mają u siebie mrozy kilkostopniowe a nie mają żadnego na nie sposobu. Rury nam zamarzły, łazienka nieczynna, wszyscy niezadowoleni. Major Wąż mnie zdenerwował, po prostu wepchnął mi się na celownik: „Zawsze — powiada — kąpałem się dwa razy w tygodniu, a u Pani Pułkownikowej nie mogę". „Panie Majorze — mówię na to — niech Pan Major we mnie nie wmawia, że miał Pan Major łazienkę w Kraśniku." Najpierw się zaczerwienił, ale zaraz odpowiedział: „Za to miałem służbę — dziewczynę i ordynansa".

Tymczasem pa, kochana Jagodo, bo czas najwyższy na mnie, żebym zaczęła grzać Hotwoterbotle. Cześć!

Malina

NA MARGINESIE

AGENCJA . . . TELEGRAFICZNA

LONDYN (NBI) — „Polska Agencja Telegraficzna" w biuletynie swoim z dnia 4 lutego br. zamieściła wiadomość z Ottawy pt. „Delegacja polska u premiera Kanady", sygnując ją na górze literami PAT. Wiadomość ta pod tym samym tytułem i o identycznej treści ukazała się w nrze 53 Narodowego Biura Informacyjnego z dnia 9 stycznia br. ...

(Zamieściliśmy ją w nrze „Myśli Polskiej" z dnia 15 stycznia br.)

Zabawę w symboliczne agencje telegraficzne ad maiorem Sanatiae gloriam, gdy się nie ma nic do doniesienia kończy żałośnie... kabel od cudzego korespondenta.

„MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata: półroczna 18 s lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol. (opłata lotnicza do USA półrocznie 1.50 dol., rocznie 3 dol.).

Printed for „Myśl Polska" by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11, tel. BAT 0879. 15 February 1954